

Powrót króla albo o szkodliwości betonozy i jałowości prostej antybetonozy

3 czerwca 2021

Czasem faktycznie mogą puścić nerwy. Na przykład kiedy czytam o kolejnym zabetonowanym placu, kolejnych wyciętych drzewach, kolejnych pomysłach typu „zrobmy plac zabaw na starym cmentarzu, a potem co kwartał płaćmy 40 tys. złotych sokolnikowi, żeby przepędzał gawrony”. Ale wiem też, że nerwowe i emocjonalne ruchy nie wystarczą, by wyleczyć chorobę. Również chorobę nazwaną betonozą. Musimy poznać jej źródła. A nie są one wcale oczywiste.



Po pierwsze, betonoza rozwija się w społecznej próżni, w jakiej znalazła się przestrzeń wspólna po 1989 roku. Po części odreagowaliśmy w ten sposób lata PRL-u z jej – w dużej mierze przymusowym i iluzorycznym – uspołecznieniem. Po części zajęci byliśmy zdobywaniem i urządzaniem przestrzeni własnej: mieszkań, domów, działek, ogródków. Ogromne znaczenie miał też obowiązujący przez wiele lat trend, zgodnie z którym wszystkim

można zarządzać jak firmą, a prywatny właściciel jest zawsze najlepszym wyjściem. W efekcie całe połacie gruntu i całe kwartały miast oddano do dyspozycji deweloperom. Skutki znamy: monstrualne galerie handlowe w centrach, a na peryferiach pokryte monotonną zabudową grodzone osiedla pozbawione infrastruktury i zieleni. Do tego często zbudowane na terenach rolniczo czy przyrodniczo wartościowych.

W końcu przyszło zatem rozczarowanie deweloperami i kryzys wiary w prywatną własność jako gwarancję jakości przestrzeni. Zbiegło się to w czasie z uruchomieniem środków unijnych przeznaczonych na infrastrukturę i rewitalizację. Na scenie pojawili się zatem urzędnicy, głównie samorządowi. Obiekt się zmienił, ale ta sama pozostała nadzieja, że możemy jako społeczeństwo czy społeczność oddać komuś odpowiedzialność za przestrzeń. Podobnie jak deweloperzy, również urzędnicy nie spełnili tych oczekiwań. Zmiana w tkance miejskiej (i wiejskiej) – niezależnie od tego, jak niewinnie na pozór wygląda – pociąga za sobą ingerencję w szereg splątanych ze sobą procesów geologicznych, hydrologicznych, biologicznych, technicznych, architektonicznych, urbanistycznych, politycznych, ekonomicznych, socjologicznych i psychologicznych. Wymaga ponadto naruszenia, a potem uzgodnienia interesów wielu grup, często pozostających w konflikcie.

Wydaje się, że w obliczu tak złożonych i ryzykownych sytuacji, przy permanentnym braku czasu, większość urzędników zdezerterowała, trzymając się rozwiązań banalnych, nudnych, sztamkowych. Na ogół niewiele one polepszają, a często pogarszają sytuację, jak w przypadku odrestaurowanych na glanc, ale pustych dworców, ulic czy dzielnic, zabetonowanych placów czy stuletnich drzew wycinanych hurtowo, by na ich miejscu stworzyć... park. Tego typu rozwiązania gwarantują jednak stosunkowo łatwe skonstruowanie budżetu, a potem zatwierdzenie go przez urząd marszałkowski czy instytucję unijną. To z kolei przekłada się na sympatię wójta czy

burmistrza, a to oni przecież wypłacają pensję. Nie bez znaczenia jest pewnie fakt, że na betonie czy kostce brukowej łatwiej dać zarobić tym, którzy mają zarobić niż by to miało miejsce w przypadku projektów bardziej złożonych.

Problemem jest też brak wyobraźni. Dowiedziono w badaniach i w praktyce, że ludzie często chcą tego, co już znają i widzą wokół siebie. Jeżeli widzą beton i bruk, na ogół będą upatrywać zmianę w tym, żeby było jeszcze więcej betonu i bruku. Ewentualnie lepszego, ładniejszego czy droższego. A urzędnicy w ratuszach nie różnią się zbytnio od reszty populacji. Niestety, o ile dość szczegółowo szkoli się ich z finansów i sprawozdawczości, o tyle z estetyki, urbanistyki czy rozumienia procesów społecznych już niekoniecznie. Pomóc mogłyby narzędzia narzucane przez unijne agendy, takie jak wymóg dokonania wielowymiarowej diagnozy, powołania ciał doradczych czy zorganizowania konsultacji. Potraktowane poważnie, mogłyby realnie wspomóc urzędników w rozumieniu złożonych procesów, w które ingerują, albo poszerzyć ich wyobraźnię. Dość szybko zmieniają się one jednak w fasadę czy listek figowy, ponieważ są postrzegane nie jako wsparcie, lecz raczej jako kolejny interes do uwzględnienia w i tak już skomplikowanej mozaice – lub wręcz jako przeszkoda w realizacji wybranej wcześniej wizji.

W efekcie leje się cement i kładzie bruk, jak kraj długi i szeroki. Coraz więcej ludzi drży na dźwięk słowa „rewitalizacja”, ponieważ kojarzy się im ono z wycinką drzew, betonowaniem oraz bezwzględnie narzucanymi sztucznymi rozwiązaniami, które na długi czas budowy wyłączają z życia całe kwartały miast, a po jej zakończeniu owocują przestrzenią kapiącą wprawdzie bogactwem, ale często martwą, słabiej nadającą się do życia, działania i pracy. Tak dochodzimy do kolejnej fali rozczarowania. Zbiegła się ona z ogólnoświatowym kryzysem klimatycznym. Ta fala rozczarowań przyniosła kolejnych wyrazistych bohaterów w postaci działaczy ruchów miejskich i ekologicznych, którzy ukuli bardzo nośne hasło

„betonozy” jako nazwę dla choroby toczącej polską przestrzeń.

Z pewnością ekołodzy budzą więcej sympatii (przynajmniej mojej) niż głusi na wszelką krytykę włodarze z uporem maniaka tnący drzewa i brukujący, co się da (i nie da). A jednak, po bliższym przyjrzeniu okazuje się, że działacze miejskich i ekologicznych łączy z urzędnikami i deweloperami więcej niż się to na pozór wydaje. Wspólnym mianownikiem jest wycinkowość spojrzenia i wynikająca z tego częstkowość wysuwanych rozwiązań. O ile sporo osób zaangażowanych w ruchy miejskie czy ekologiczne sprawia wrażenie empatycznych, kreatywnych i otwartych, o tyle proponowane lekarstwa na bolączki współczesnego miasta zwracają uwagę swoją wybiórczością i ograniczonością. Sprowadzają się właściwie do tego, że uratuje nas więcej zieleni. Oraz ścieżek rowerowych.

Zwłaszcza ten ostatni postulat sygnalizuje, że ruchy miejskie reprezentują interes nie tyle całego miasta czy ogółu, lecz własnej grupy społecznej. Młodzi, sprawni i mający dość zasobów (czasowych, finansowych i kulturowych) dbają o potrzeby swoje i podobnych sobie, nie zaś tych, którzy z różnych powodów nie chcą czy nie mogą przesiąść się na rowery – dostawców, seniorów, niepełnosprawnych, opiekunów małych dzieci itp. I nie ma w tym nic złego. Wręcz przeciwnie, podobnie jak nie są naganne same z siebie działania deweloperów, urzędników czy innych podmiotów reprezentujących konkretne interesy, a także potrzeby i wartości obecne w społeczności i obecne w każdym z nas. Ważne jednak, abyśmy patrzyli na wszystkich stawiających diagnozy i proponujących rozwiązania w ten właśnie sposób. Widzieli ich nie jako kogoś, komu możemy odstąpić całościową odpowiedzialność za przestrzeń, lecz podmiot reprezentujący pewien wycinek rzeczywistości. I dbający do tego głównie o swój interes.

Przecież podczas remontu czy budowy domu zatrudniam specjalistów z rozmaitych dziedzin: elektryków, hydraulików, murarzy, malarzy, dekarzy. Nieważne, jakiej klasy fachowcami są i jak wiele dobrej woli mają, to jednak na mnie spoczywa

odpowiedzialność za całość przedsięwzięcia. I jeśli chcę stworzyć miejsce nadające się do zamieszkania przeze mnie, nie mogę tej odpowiedzialności się pozbyć. Nawet jeśli zatrudniam kierownika budowy czy architekta. Wydaje się to oczywiste czy wręcz banalne w przypadku pojedynczego budynku. Takim też powinno się stać w odniesieniu do otaczającej nas przestrzeni.

Konieczny jest więc tołkienowski „powrót króla” – ponowne wzięcie odpowiedzialności za wieś, miasto, dzielnicę, osiedle, sąsiedztwo przez suwerena. Czyli przez zamieszkującą je społeczność. To nie jest łatwe. Wymaga czasu, wysiłku i odwagi. Odwagi naruszenia różnych interesów, nadeptania na wiele odcisków. Ale też odwagi spojrzenia na samych siebie. Na swoje wartości i na swoje czyny. Władza tnie i betonuje, to prawda. Ale w pierwszym półroczu obowiązywania lex Szyszko wycięto trzy miliony drzew – więcej niż w ciągu całej poprzedzającej dekady. I nie robiły tego tylko władze, które przecież ktoś zresztą kadencja po kadencji wybiera, lecz również obywatele. Więc umiłowanie przyrody i zrozumienie, jaką rolę odgrywa, nie jest tak oczywiste, jak mogłoby się wydawać. Dla niektórych esencją miejskiej nowoczesności jest zrównoważona zieleń podpatrzona w Skandynawii, dla innych – kostka brukowa będąca zaprzeczeniem błota kojarzącego się z wsią. Musimy żyć razem, ze sobą i obok siebie. Chcąc nie chcąc, od czasu do czasu spotkamy się na jednym rynku, który należy do wszystkich. Nie powinien być łupem spekulantów (przepraszam, inwestorów), nie powinien być wybetonowanym parkingiem. Ale nie powinien być też parkiem w środku miasta, bo nie do tego rynek służy.

Zresztą aż tak bardzo się od siebie nie różnimy. Myślę, że większość osób, które skwapliwie korzystały z nowego prawa, by pozbyć się niechcianych drzew, powiedziałyby, że kocha przyrodę. Ale zawsze jest jakieś „ale”. Ale drzewo zasłania widok, do tego może się złamać. Ale to moja działka, a władza powinna lepiej dbać o parki, gdzie jest miejsce zieleni. Ale to przecież tylko jedno drzewo... łatwo takich ludzi piętnować,

lecz niech pierwszy rzuci kamieniem, kto jest bez winy. Kto nigdy nie wrzucił nieposegregowanych śmieci. Kto nie skorzystał z apartamentu na wynajem w coraz bardziej wydrażonym z mieszkań śródmieściu Gdańska czy Krakowa. Kto nie kupuje książek przez Internet, chociaż w głębi duszy kocha klimatyczne księgarnie...

Jeżeli dostrzeżemy, jak bardzo jesteśmy podobni w naszej małości i wielkości, zamiast widzieć je wyłącznie w innych, być może powstanie płaszczyzna współpracy. I ułatwi społecznościom ponowne wzięcie odpowiedzialności za zamieszkiwaną przestrzeń. W przeciwnym razie trwać będzie próżnia, którą wypełnią podmioty najbardziej aktywne, a niekiedy agresywne. Patrzące wycinkowo, napędzane ideą bądź chęcią zysku, władzy, a często po prostu świętego spokoju. Podmioty, które pograżą się w jałowej walce albo dokonywać będą cichych porozumień. Niekoniecznie w interesie naszym i naszego świata.

Autorstwo: Tomasz Drzazgowski

Zdjęcie: [oknesanofa](#) (CC0)

Źródło: NowyObywatel.pl